

POWIEDZIELI,
ŻE ZABIŁA.

ODSIEDZIAŁA
WYROK.

A JEŚLI
KŁAMALI?



TAK CIĘ STRACIŁAM

JENNY BLACKHURST

ALBATROS

Susan Webster
Osadzona nr 397609
Rada ds. Zwolnień Warunkowych
23 stycznia 2013

Szanowni Członkowie Rady!

Nazywam się Susan Webster. Prawie cztery lata temu, 23 lipca 2009 roku, zabiłam swojego trzymiesięcznego syna. Dopiero teraz potrafię wypowiedzieć te słowa i pogodzić się z tym faktem, niemniej kiedy je piszę, wciąż odczuwam bezmierny ból i żal.

Przebywając w areszcie śledczym i potem przez dwa lata i osiem miesięcy w Oakdale, przestudiowałam niemal wszystko, co napisano o psychozie poporodowej, zwanej również depresją połogową, na którą zapadłam po urodzeniu Dylana. Dzięki tym lekturom uprzytomniłam sobie, że tamtego fatalnego dnia nie panowałam nad swoimi działaniami. Teraz wiem również, że moje wspomnienia niezwyklej dwunastu tygodni z Dylanem były wyidealizowane, powstały wskutek wyparcia wielkiego gniewu, jaki we mnie wzbudzał. Wiem, bo tak twierdzą lekarze. Trudno mi przyjąć fakt, że zabiłam swoje małe dziecko, a jeszcze trudniej pogodzić się

z tym, że najdroższe wspomnienia – jedyne, co mam po moim pięknym synku – są wytworem mojego własnego wypaczonego umysłu. W najczarniejszych chwilach żałuję, że nie pamiętam, jak odczuwałam nienawiść czy obojętność wobec istoty, której dałam życie. Może wtedy choć na krótko zaznałabym spokoju, nie dręczyłyby mnie ból i poczucie winy, zatruwające każdy mój dzień. Ale nie chcę snuć takich myśli, bo tylko wspomnienia, autentyczne czy wyimaginowane, łączą mnie z osobą, którą kiedyś byłam. A przynajmniej z osobą, którą wydaje mi się, że byłam. Żoną, matką, może trochę bałaganiarską panią domu, na pewno beznadziejną kucharką, ale nigdy, nawet w najgorszych snach, nie morderczynią.

Choć pogodziłam się z tym, co zrobiłam, nie oczekuję wybaczenia. Wiem, że nigdy nie wybaczę sobie samej. Proszę tylko, by moja skrucha została uwzględniona podczas przesłuchania w sprawie zwolnienia warunkowego, a wtedy postaram się odmienić swoje życie, zrobić coś dobrego dla świata i zadośćuczynić za popełnione przeze mnie zło.

*Z poważaniem
Susan Webster*

1

24 kwietnia 2013

Wciąż tam jest.

Choć tyle razy wychodzę z kuchni, żeby zająć się codziennymi sprawami, kiedy wracam, wciąż tam jest.

Przyszło dziś rano, przykryte stosikiem kolorowych reklam i niewróżących niczego dobrego rachunków. Generalnie boję się teraz otrzymywać przesyłki pocztowe. Dlatego ze wszystkich dni tygodnia najbardziej lubię niedzielę.

W niedzielę nie dostarcza się poczty. Ale dziś nie jest niedzielą. I dziś dostarczono pocztę.

Przypuszczam, że moja niechęć do wszelkich przesyłek w kopertach wynika z masy rachunków, które dostaję dzień w dzień. Mieszkam tu zaledwie od czterech tygodni i mam wrażenie, że wszystkie przedsiębiorstwa użyteczności publicznej w kraju chcą mnie za coś obciążyć. Każdy list zaadresowany „Do najemcy” przypomina mi, że niestety, zapomniałam uruchomić polecenie zapłaty, że jestem bałaganiarą i że cienko u mnie z kasą.

Ale to, co dzisiaj przyszło, nie jest rachunkiem. Poznaję od razu, po odręcznie napisanym adresie. Nie wygląda to jednak na

list od osobistego czy korespondencyjnego przyjaciela. Koperta jest zwykła, brązowa, a na niej drobne pochyłe pismo, jakby kobiece. Żadne z tych spostrzeżeń nie wyjaśnia jednak, dlaczego wciąż leży na blacie w kuchni, nieotwarta.

Mogę ją po prostu wyrzucić do kosza. Mogę również poczekać na Cassie i niczym uczennica, która boi się zajrzeć do koperty z wynikami egzaminów, poprosić, żeby ją otworzyła. Znowu stoję przy blacie i gdy widzę napisane na niej słowa, zaczyna mi walić serce.

*Susan Webster
3 Oak Cottages
Ludlow, Shropshire*

Ale Susan Webster nie żyje. Coś o tym wiem. Zabiłam ją cztery tygodnie temu.

Nikt nie miał wiedzieć, gdzie przebywam ani kim jestem. Dlatego zmieniłam oficjalnie imię i nazwisko. Nawet moja kuratorka mówi do mnie „Emmo”. Wciąż zdarza się, że nie reaguję. Teraz nazywam się Emma Cartwright. Ale to nic wam nie powie. Cztery lata temu nazywałam się Susan Webster. Już widzę, jak coś wam świta w głowie... marszczycie czoło, wyężacie pamięć. Jeżeli mieszkacie w północnej Anglii, być może mruzcycie pod nosem: „Zaraz, zaraz, czy nie chodzi o tę kobietę, która zabiła swojego syna? Co za koszmar”. Jeżeli mieszkacie w innej części kraju, prawdopodobnie w ogóle nie pamiętacie tej sprawy. Zbiegła się z wiadomością o pewnym celebrycie, którego przyłapano na handlu narkotykami. O moim synu i o mnie napisano na którejś tam stronie gazet ogólnokrajowych.

Zrobię to. Drżącymi rękami otwieram kopertę, starając się nie uszkodzić zawartości. Gdy wydaję mały kartonik, przemijam mi przez myśl, czy nie powinnam włożyć rękawiczek – a jeśli to list z pogrózkami i policja zechce mieć dowód? Normalnemu człowiekowi pewnie wyda się dziwne, że mogę dostać list z groźbą śmierci. Zaręczam wam, że ja też nigdy bym nie sądziła, że znajdę się w takiej sytuacji.

Za późno, żeby się przejmować śladami kryminalistycznymi. Poza tym w środku jest nie list, lecz zdjęcie. Mały chłopiec pięknie uśmiecha się do obiektywu – ma na twarzy szeroki, radosny, szczery uśmiech. Strach ustępuje i pojawia się konsternacja. Kto to jest? Nie znam ani jednego dziecka w wieku tego chłopca: wygląda na dwa, może trzy lata. Mam bratanicę, nie bratankę, a te kilka matek, które poznałam na spotkaniach grupy niemowlęcej, zanim... no, wiadomo, lepiej nie kończyć... więc te matki wołały trzymać się z daleka, wymazać z pamięci to, co się wydarzyło, udąć, że Dylan i ja nigdy nie istnieliśmy.

Dlaczego dostałam tę przesyłkę? Robiąc w myślach przegląd znanych mi dzieci, wypuszczam z rąk zdjęcie. Kartonik odwraca się w powietrzu i ląduje na blacie wierzchem do dołu. W jednej chwili cały mój świat kurczy się do wymiarów prostokąta dziesięć na piętnaście centymetrów, który mam przed oczami. Tym samym starannym pismem co na kopercie napisano na odwrocie:

Dylan – styczeń 2013.

2

– To jakiś żart – oświadcza Cassie, rzucając zdjęcie na blat. I tyle?! Czekam dwadzieścia minut w ciszy, aż Cassie uniesie wzrok, i słyszę, że to żart?! Biorę głęboki wdech.

– Oczywiście, Cass, ale kto to zrobił? Kto oprócz ciebie wie, że tu mieszkam? Czy to ma być pogrożka? Czy też ktoś chce dać mi do zrozumienia, że Dylan żyje?

Odwraca głowę. Już wiem, kto jej zdaniem to zrobił.

– Mark – mówię. – Uważasz, że stoi za tym Mark.

Cassie zaciska zęby na sam dźwięk jego imienia i milczy. Co nie przychodzi jej łatwo. Wysuwa do przodu spiczastą brodę i chyba gryzie się w język, dosłownie. Moja najlepsza przyjaciółka nie cierpi mojego byłego męża. W ogóle nie cierpi mężczyzn, ale Mark przebija pozostałych. Wiem na sto procent, że on też by jej nie lubił, gdyby się znali.

W tym miejscu powinnam powiedzieć kilka słów o Cassie. Jest najlepszą przyjaciółką, jaką kiedykolwiek miałam, wymarzoną, ale nie znamy się od zawsze. Nie byliśmy onieśmielonymi pierwszoklasistkami, gdy się spotkałyśmy, ani koleżankami

ze studiów. Poznałam Cassie, słysząc płaczliwe zawrodoenie i łoskot zatraskujących się za mną drzwi. Siedziała na górnej pryczy. Miała tlenione włosy, upięte niedbale na czubku głowy, i cienkie czarne brwi, które ściągnęła na mój widok. Zeskoczyła z wyrka zwinnie jak kot i wylądowała obok mnie – potem dowiedziałam się, że gdy próbowała to zrobić pierwszy raz, złamała sobie nogę w kostce. Kości biodrowe odznaczały się pod luźnymi więziennymi spodniami ciemnozielonego koloru, a spod kusej koszulki, jakby wypożyczonej z oddziału dziecięcego, wystawał śnieżnobiały brzuch. Silny wiatr mógłby ją przewrócić, natomiast miała taką wewnętrzną siłę, jakiej dotąd nie wyczuwałam u nikogo.

– Górne jest moje, ale śpij spokojnie: nie sikam w łóżko, jak niektórzy z tutejszych mieszkańców. I nie ruszaj moich rzeczy.

Znajomość z Cassie zawarłam w dniu, gdy czułam się opuszczona przez wszystkich. Przekonałam się o tym dużo później, co nie zmienia faktu, że Cassie uratowała ten dzień – i mnie.

Spotkałyśmy się, ponieważ popełniła przestępstwo. Jest morderczynią, podobnie jak ja. Natomiast w przeciwieństwie do mnie ona pamięta wszystko co do sekundy. Opowiada o tym, lubując się w detalach, tak jak opowiada się makabryczne historie przy ognisku na obozie harcerskim. Irytuje się, gdy stwierdzam, że jej zobojetnienie jest „mechanizmem obronnym umysłu, który w ten sposób tłumi wspomnienie zbrodni”. Gdy powiedziałam jej to po raz pierwszy, przez tydzień nazywała mnie Freudem i nie zwracała się do mnie po imieniu, dopóki nie obiecałam, że nie będę bawić się w psychologa. Ten jeden jedyny raz niemal przyznała, że właściwie mogę mieć rację.

– No dobrze... – chwilowo idę na ustępstwa – ...założmy, że to robota Marka. Skąd on wie, gdzie przebywam? I dlaczego miałby mi sugerować, że nasz syn żyje?

Ze zniecierpliwieniem wznosi oczy do nieba.

– Pracuje jako informatyk, zgadza się?

– Zgadza. – Kiwam głową. – Ale nie jest hakerem.

Tylko wzrusza ramionami, a ja idę znowu zaparzyć herbatę. Gdy nic nie robię, trzęsą mi się ręce.

– A powód? Niby dlaczego mój nigdyś mąż, a obecnie haker wysyłałby mi zdjęcie chłopca, który, jak wiadomo, w żadnym razie nie może być moim zmarłym synem?

– Może dlatego, że jest dupkiem? Albo chce ci dorzucić jeszcze trochę poczucia winy do tej kupy gówna, którą już dźwigasz na swoich barkach? Albo namieszać ci w głowie? Możliwe, że „styczeń 2013” oznacza nie tyle, że to jest aktualne zdjęcie Dylana, ile że tak mógłby wyglądać, gdybyś... gdyby on... no wiesz...

– Wiem.

– Zachowałeś zdjęcia Dylana? Te z albumu, który dostałeś od swojego taty?

– Gdzieś są – mówię w zamyśleniu. Nie zamierzam ich wyjmować. – Moim zdaniem to nie Mark.

Mark był zdruzgotany po śmierci syna – jak byłby każdy mężczyzna – ale starał się okazać mi wsparcie. Nawet pojawił się dwukrotnie w Oakdale. I za jednym, i za drugim razem trząsł się jak galareta, omijał mnie wzrokiem, ale cieszyłam się, że próbuje mi wybaczyć. A potem przestał przyjeżdżać. Po kilku tygodniach dostałam zawiadomienie o wszczęciu procedury rozwodowej i kartkę od Marka, na której napisał tylko: „Wy-

bacz”. To wtedy Cassie zabrała mi jego zdjęcia i zrobiła z nich tarczę do gry w darta, tylko zamiast lotkami rzucała do niej mo-
krym ręcznikiem papierowym, zwiniętym w kulkę, byle mnie
rozbawić. W Oakdale nie pozwalano grać w darta. Ani mieć za-
temperowanych ołówków.

– A więc to po prostu żart. – Staram się mówić z przekonaniem. – Żadna pogrożka. Tyle że „żart” powinien być śmieszny, a ten nie jest.

– W takim razie głupi kawał. Albo, jak mówią ci od przestępstw gospodarczych, machlojka.

Cała Cassie, gdy jest przekonana o swojej słuszności. Bębni po stole długimi paznokciami żelowymi, pomalowanymi na niebiesko, wyraźnie spragniona papierosa. W moich oczach ten manikiur świadczy o całkowitej przemianie, jaka w niej zaszła od opuszczenia Oakdale. Gdy się poznałyśmy, były obgryzione do żywego, z resztkami wiekowego lakieru. To już zamierzchła przeszłość, podobnie jak krótkie drelichowe spódnice i topy do pępka. Teraz zakrywa ciało i zawsze ma wypielęgnowane paznokcie.

– Jasne – przytakuję – to głupi kawał, nie pogrożka.

Możliwie szybko pozbywam się Cassie, udając, że mam sprawy do załatwienia. Wie, że to nieprawda, ale rozumie sugestię i żegna mnie pocałunkiem, zostawiając jaskrawy ślad na moim policzku i wkładając do zlewu niepozorny kawałek wilgotnego ręcznika papierowego.

Po raz setny oglądam kopertę i dopiero teraz widzę coś, co przejmuję mnie dreszczem. Nie ma stempla pocztowego. Ko-

perta musiała leżeć na wycieraczce, zanim dostarczono pocztę. Czyli ktoś był pod moim domem, stał pod drzwiami, wrzucił kopertę, gdy byłam w kuchni. Ta myśl przyprawia mnie o mdłości i odruchowo przykładam rękę do ust. To nie pogrożka, powtarzam sobie, ale jakaś bezsensowna bzdura. Nie ma w tym żadnej groźby. Najwyżej lekkie ostrzeżenie, że ktoś zna moje nazwisko. Wie, kim jestem. Co zrobiłam. Ten ktoś stał pod moimi drzwiami.

Już nie starcza mi sił, uleciał ze mnie duch walki. Osuwam się na zimną posadzkę i wybucham płaczem.

3

Jack: 23 września 1987

Stopa wylądowała na twarzy, obcas wbił się w żebra. Chłopiec zwinął się w kłębek, stęknął, ale nie uronił łzy, co wzbudziło w Jacku niechętny szacunek. Kiedy popłynęła krew, Riley już robił krok w przód, ale Jack złapał go za ramię – za wcześniej. Jeszcze parę minut, kilka guzów, może złamane żebro. Z odległości półtora metra, gdzie stał oparty o prowizoryczne baraki sraczkowatego koloru, łomot wyglądał niemal fascynująco, niczym balet. Gdy rozległo się chrupnięcie, jakby trzask gałęzi, i ucichło pojękiwanie, Jack wyprostował się, otrzepał rękaw swetra i dał znak Rileyowi, by poszedł za nim w stronę aktorów tego przedstawienia.

– *Odwalcie się od niego.*

Wszyscy trzej znieruchomieli, ale jeden wciąż przydeptywał złamany nadgarstek piętnastolatka, jakby ten miał prysnąć.

– *A wy dwaj co się, kurwa, wtrącacie?*

Chłopak numer jeden – Jack w ogóle ich nie znał – podrygiwał, jak gdyby uderzał z główki wymyślanego przeciwnika. Popieprzony debil.

– *Co on zrobił?*

– Nakablował na Harrisa. – Chłopak numer dwa mocniej przydepnął nadgarstek swojej ofiary. – Prawda, Szekspir?

– Nie ja – wydobył się głos spod zakrwawionych ciuchów.

– A kto? – rzucił chłopak numer trzy, pewnie Harris.

Był z nich najwyższy, ale najwyraźniej niezbyt skory do bójki. Chyba nie chciał się pobrudzić. Można zrozumieć.

– Bo ja wiem? Nie ja.

– Zakłamaný padalec. – Chłopak numer dwa już się szykował, żeby znów tamtemu dokopać.

W mgnieniu oka Jack doskoczył do niego, złapał go za bordowy blezer i odepchnął.

– Powiedziałem, żebyś się odwalił. On nie nakablował na waszego kumpla. Mówi prawdę. Nie on.

– Skąd wiesz?

– Wiem wszystko, kretynie. Chcesz się dowiedzieć, kto cię zakapował, pogadaj z Mikiem Petersonem.

Harris zmrużył oczy, podobnie jak Riley, który stał obok Jacka.

– Jesteś pewny? – zapytał Harris.

– Jestem. I zapamiętaj sobie, on jest teraz ze mną. – Jack wycelował palcem w leżącego chłopaka. – Jak ci nabruździ, przyjdź do mnie. Jeżeli znowu mu dołożysz, każę połamać ci kości. Reszcie też. Pomyśl o swojej karierze rugbisty, głupi miłośniku.

Wstrzymał oddech i usztywnił szczękę. Harris spojrzał na swoich kumpli, machnął ręką i cała trójka oddaliła się jakby nigdy nic.

– Wszystko w porządku?

Riley pomógł chłopakowi podnieść się na kolana. Ten na

chwilę zastygł w bezruchu, zwiesiwszy głowę. Jego długie do ramion brązowe włosy były tłuste, zlepione potem i krwią. Usiłował spojrzeć w górę na Jacka, ale skrzywił się i znów wbił wzrok w ziemię.

– Dlaczego tak im powiedziałeś? – wymamrotał. Ledwie dało się zrozumieć słowa, wargi już mu zaczęły puchnąć. – Peterson... nic nie zrobił. To ja.

– Dzięki mnie nie dokopali ci bardziej, prawda? Mam ich zawołać? Powiedzieć, że się pomyliłem? – Spojrzał za tamtymi, wiedząc, że są już daleko. – Harris! Hej, Harris!

– Nie, nie. Nie chcę. – Chłopak jęknął z bólu.

– Chryste, ale ci dołożyli. Wstawaj, pójdziemy do mnie... Mamy i taty nigdy nie ma w domu. Lucy cię opatrzy.

– Kto to?

– Gospośia. Wkurzyło mnie, jak powiedzieli, że się do nas wprowadzi, bo zatrudnili ją, żeby mnie pilnowała, ale okazało się, że jest w porządku... Ma jakieś osiemnaście lat i wielkie cycki i robi niesamowite grzanki. Na imię mi Jack, a jemu Matt. Dlaczego mówią do ciebie Szekspir? To ksywka?

Zakrwawiona twarz zmarszczyła się z gniewu.

– Nie znoszę tego. Na teście z anglika dostałem sto punktów i pani Bramall nazwała mnie małym Szekspirem. Przyłgnęło. Ja...

– Podoba mi się – przerwał mu Jack. – Znaczy, że jesteś bystry, a ja lubię bystrzaków. Jeśli chcesz, będę ci mówił William... albo Willy, tak między nami, dla żartu. Bo jesteśmy kumplami, no nie?

– Dlaczego chcesz się ze mną kumplować? Nie jestem taki jak ty i twoja paczka.

– *A jaka jest moja paczka?*

– *Mają forse... dobrze się ubierają i w ogóle.*

Jack spojrział na Matta i obaj parsknęli śmiechem.

– *Jesteś pedalem? Podobają ci się moi kumple, tak?*

– *Nie! Nie o to chodzi. Po prostu...*

Jack prychnął. Chryste, ten chłopak naprawdę jest taki porządny? Ale będzie z niego jakiś pożytek.

– *Idziemy. Trzeba się tobą zająć.*

4

Jak prawie zawsze w sobotę ulice są pełne nastolatków, młodych i starszych par oraz matek, które ciągną swoje nadąsane i marudzące maluchy po nielicznych już tutaj sklepach.

– Recesja mocno uderzyła w miasto – oznajmia Rosie Fairclough, podając mi wielką porcję ciasta czekoladowego na ciepło. – Potrzebujemy świeżej krwi, takich jak ty przybyszów, którzy dorzucają mu kasy.

Niemal wybucham śmiechem. Wścibska Rosie byłaby innego zdania, gdyby miała choć blade pojęcie, kto zamieszkał w jej sennym miasteczku. To dopiero dałoby powód do plotek.

Łakomie wbijając zęby w ciasto, postanawiam zaryzykować i ukradkiem spoglądam przez okno. Nic szczególnego, na brukowanych ulicach pełno ludzi idących na zakupy. Przestań się wygłupiać, mówię sobie, nie jesteś bohaterką niskobudżetowego filmu szpiegowskiego. Nikt mnie nie obserwuje. Muszę zapomnieć o tym, co się wydarzyło dziś rano, o tym głupim „żarcie”. Wobec tego staram się skupić na ludziach, którzy są w pobliżu.

Przy ladzie siedzi jeszcze jedna kobieta, pogrążona w my-

ślach, pochylona nad ciastem marchewkowym, które je powoli, nie tak jak ja swoje. Ma mniej więcej tyle lat, ile miałyby moja mama, ale raczej nie musi dbać o figurę, choć wyraz jej twarzy wskazuje, że coś jest nie w porządku. Długie blond włosy opadają jej na twarz, gdy wpatruje się w rozpostartą gazetę, ale ich nie odgarnia. Zastanawiam się, jak wygląda jej życie. Pokłóciła się z kochankiem? Zdradził ją mąż? A może spotkało ją coś znacznie gorszego?

Nagle podnosi głowę, jakbym wymówiła jej imię, i przechwytuje moje spojrzenie. Odwracam się w stronę drzwi, zawstydzona, że mnie przyłapała. Mama zawsze mi mówiła: „To niegrzecznie się gapić, skarbie”.

– Szybko zniknęło. – Rosie uśmiecha się, widząc już tylko okruszki na moim talerzyku. – Podać jeszcze kawałek?

Boże drogi, o tak, przelatuje mi przez myśl.

– Boże drogi, o nie. – Śmieję się, może trochę za głośno.

Zawsze musiałam walczyć z nadwagą – jedzenie podnosiło mnie na duchu. Jeśli nie miałam apetytu, mama patrzyła na tatę i cmokając, mówiła: „Oho, będą kłopoty, Len”. Droczyła się ze mną, choć to przez nią cała rodzina lubiła sobie podjeść. Jej domowe posiłki, zwłaszcza desery, cieszyły się taką sławą, że moje koleżanki ustawiały się w kolejce, żeby dostać zaproszenie na podwieczorek, a zawartość mojego pudełka z lunchem budziła powszechną zazdrość. Rolada biszkoptowa, ciasto cytrynowe z lukrem, beza z malinami – w podstawówce byłam odpowiednikiem dilerki narkotyków. Mój mąż ogromnie żałował, że nie odziedziczyłam talentów kulinarnych matki. Musiał się zadowalać piekielnie smacznym obiadem u teściów w każdą niedzielę.

– Biodra by mi tego nie wybaczyły – dodaje. – Mogę cię o coś zapytać, Rosie?

W oczach starszawej kobiety zapalają się iskierki, jakbym wręczała jej wygrany los na loterię. Rosie jest mianowicie kopalnią informacji.

– Ciekawa jestem, jacy ludzie tu mieszkają. Często dochodzi do awantur?

Rosie kręci głową.

– Raczej nie, kochana. No wiesz, zdarzają się burdy, gdy w sobotę wieczorem dzieciaki ruszają w miasto. Nic więcej. A co, ktoś ci sprawia kłopot?

Natychmiast żałuję, że ją spytałam. Wiedziałam, że Rosie jest plotkarą, i zastanawiam się, czy nie zacznę drażnić tematu, spragniona jakiejś pikantnej historii. Albo wejdzie do internetu, ledwie znajdę się za progiem, i poszuka informacji o tajemnej przeszłości Emmy Cartwright. Aha, wraca moja stara przyjaciółka, paranoja, której mi brakowało przez ostatnią godzinę.

– Drobiazg – rzucam niedbale. – Dziś rano znalazłam na ganku rozbite jajko. Pomyślałam, że miejscowi może nie darzą sympatią nowo przybyłych.

Rosie ma zawiedzioną minę.

– To na pewno dzieci, kochana. Nasze miasto różni się od innych małych miast, gdzie wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich. U nas każdy pilnuje swojego nosa. Nie masz się czym przejmować.

– Świetnie. – Moje kłamstewko na szczęście nie wywołało dalszych pytań. – Tak myślałam. To był tylko żart.

Po wyjściu stamtąd czuję, że ciasto czekoladowe leży mi na żołądku. Po głowie krążą mi słowa Rosie: „Nasze miasto różni się od innych małych miast, gdzie wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich”. Zanim opuściłam Oakdale, uprzedzono mnie, że ludzie mogą być do mnie wrogo nastawieni, gdy się dowiedzą, kim jestem. Byłam przygotowana na widły i pochodnie, ale nie na podchody i gierki. Bez względu na to, czy był to głupi dowcip, czy nie, pozostaje faktem, że ktoś zna moje poprzednie nazwisko. A tym samym wie, co zrobiłam.

Kiedy wchodzę do Deli on the Square, odzywa się dzwoneczek nad drzwiami. Słynne z dobrego jedzenia Ludlow szczyci się najpyszniejszą kuchnią domową i regionalną w całym Shropshire i co roku we wrześniu organizuje festiwal kulinarny. Grubaska, która we mnie tkwi, kocha to miasto.

– O, Emma. Miło cię widzieć. – Carole posyła mi promienny uśmiech. – Jak się miewasz?

– Będę się miewać lepiej, zającąc chrupiący chleb z waszym camembertem.

Carole znika i po chwili wraca z brązową papierową torebką, od której biją ciepło i zapach świeżutkiego chleba.

– I poproszę butelkę wina.

Carole unosi brwi.

– Jakaś okazja?

Zmuszam się do uśmiechu.

– Raczej uczta na pocieszenie. Kiedyś ci o tym opowiem.

Taktowna Carole nie ciągnie tematu. Mówimy sobie po imieniu od początku, od dnia, gdy odkryłam ten sklep, ale bynajmniej nie jesteśmy przyjaciółkami. Myślę, że nie zdołam zbliżyć się do nikogo, kto nie zna mojej historii. A jej ujawnienie

jest po prostu zbyt ryzykowne.

– Smacznego – mówi Carole, przyjmując należność.

Wychodzę ze sklepu. Rozum podpowiada mi, żebym udała się prosto domu i zniszczyła zdjęcie, żebym w ogóle o nim zapomniała, ale po kilku krokach miga mi przed oczami coś nieprawdopodobnego. Widzę kobietę, szczupłą, z ciemnymi włosami, długimi i prostymi. Lekko pochylona, trzyma za rękę chłopca. Małego chłopca, który rano uśmiechał się do mnie ze zdjęcia. Mojego syna.

Chcę krzyknąć, ale nie mogę złapać tchu. Wobec tego robię kilka nerwowych kroków i puszczam się pędem.

– Dylan! – udaje mi się wreszcie wydobyć głos.

To nie on, wykluczone, a jednak stoi tam. Po tak długim czasie na sam jego widok chcę paść na kolana. Jak to możliwe, że jest tak blisko, skoro przez ten cały czas był tak daleko?

Kilka osób odwraca się i patrzy na mnie; mój syn i jego porywaczka nie spoglądają za siebie. Może mi się wydaje, ale kobieta chyba zaczyna iść szybciej. Nie dość szybko, bo w sekundę ich doganiam.

– Dylan. – Chcę go wziąć za ramię, ale łapię za granatowy płaszczyk.

Adrenalina buzuje mi w żyłach. Kobieta odwraca się twarzą do mnie.

– Co pani wyrabia? Proszę zostawić mojego syna!

Bierze Dylana na ręce. Kiedy robi krok w tył, płaszczyk wyslizguje mi się z dłoni. Na twarzy kobiety malują się strach i złość.

– To mój syn... Dylan... moje...

Głos mi zamiera, bo uświadamiam sobie, że to dziecko nie

jest moim synem. Mój syn nie żyje, odszedł, a ten chłopczyk kurczowo obejmuje za szyję swoją matkę, sztywny ze strachu przed jakąś zwariowaną panią, która na nich krzyczy. W tej samej chwili dociera do mnie, że on wcale nie wygląda jak chłopiec na zdjęciu, nie jest podobny do mnie ani do Marka, do nikogo z naszej rodziny. Jest dokładnie na swoim miejscu, w ramionach własnej matki. Niepewnie cofam się o krok. Chętnie bym uciekła, ale zawodzą mnie nogi. Kobieta widzi, że jej synkowi już nic nie grozi, i rzuca się w moją stronę.

– Oszałała pani? To jest napaść na moje dziecko. Zaraz wezwę policję!

– Przepraszam, tak mi przykro, ja...

Brak mi słów. Chcę jej wyjaśnić, ale jak? Jak wyrazić to, że masz w objęciach pustkę? Że z żalu pęka ci serce? Że na każdym rogu widzisz martwe dzieci? W jaki sposób opisać komuś, zwłaszcza obcej osobie napotkanej na ulicy, stratę istoty, którą nosiło się w łonie?

– I powinno ci być przykro, ty wariatko!

Odtrąca moją rękę i dopiero wtedy uprzytamniam sobie, że wciąż jest wyciągnięta w stronę dziecka.

– Już przeprosiła. – Z tyłu dolatuje mnie zdecydowany znajomy głos. – To była pomyłka. Może powinna pani przyjąć przeprosiny i zająć się swoimi sprawami.

Z ulgą odwracam się ku mojej wybawczyni. Carole. Za plecami słyszę jeszcze sarkanie, ale zaraz potem rozlega się stuk kroków i kobieta odchodzi.

– Dziękuję. – Dokoła widzę świadków tego widowiska. – O Boże.

– Nie przejmuj się. – Carole bierze mnie delikatnie za ramię

i rzuca głośno pod adresem gapiów: – Oni nie mają nic lepszego do roboty.

Niektórzy są zażenowani, jedna kobieta wzrusza ramionami, grupa nastolatków parska śmiechem, ale tłumek się rozchodzi.

– Już dobrze? – pyta łagodnie Carole.

Nie jest dobrze, jej życzliwość mnie roztkliwia. Połykam łzy i kiwam głową.

– W porządku. To było idiotyczne nieporozumienie. Dlaczego poszłaś za mną aż tutaj?

Carole pokazuje mi jakiś papier.

– Wypadło ci, kiedy wyjmowałaś portmonetkę.

Nie wiem, co to jest, ale odruchowo wyciągam rękę. Okazuje się, że to wycinek z gazety, a gdy przyglądam się uważniej, widzę buzię mojego synka na czarno-białym zdjęciu, zrobionym wiele dni po jego narodzinach. Nie ma nagłówka, ale nawet po tylu latach pamiętam, że napisali: MATKA DOSTAJE 6 LAT ZA ZABICIE SYNA.

– Nie wiem, jak... – Chcę zaprzeczyć, że miałam to przy sobie, ale powstrzymuje mnie zatroskana mina Carole. Niby jak inaczej mogło się tu znaleźć? – No tak, to moje. Dziękuję. Jeszcze raz.

– Na pewno dobrze się czujesz?

Znowu kiwam głową, bardziej zdecydowanie.

– Tak. Dzięki, Carole. Przepraszam, muszę lecieć.

Chyba zamierza coś dodać, ale nie, nie odzywa się. Łaska boska.

– Wiesz, Emmo, że jestem pod ręką, gdybyś mnie potrzebowała.

Z opóźnieniem dociera do mnie sens jej słów.

– Słucham? Jak to?

– Myślałam, że wiesz... – mówi zakłopotana. – Mieszkamy przy tej samej ulicy.

Nie wiedziałam. Jak to możliwe? Chodziłam tymi ulicami przez cztery tygodnie, nie zwracając na nic ani na nikogo uwagi? Skoro Carole mnie dostrzegła... to kto jeszcze?

– Emmo? Na pewno nic ci nie jest? Wyglądasz nie najładniej.

Jak nigdy dotąd potrzebuję drugiego człowieka, ale to nie czas i miejsce, żeby zapraszać do domu obcą osobę. Nawet ekspedientkę ze sklepu z serem i winem. Niby co powiedziałabym nowej koleżance? „Dziś rano okazało się, że ktoś wie, że jestem morderczynią. I teraz przywiduje mi się mój nieżyjący synek, noszący przy sobie jego zdjęcia, nawet nie zdając sobie sprawy, że je mam. W tej sytuacji filiżanka herbaty byłaby jak najbardziej pożądana. U ciebie czy u mnie?”

– Nie, nic mi nie dolega – odpowiadam. – Jeszcze raz dziękuję.